[*Druk: „Przewodnik Katolicki” 14(1937), s. 219-221.*
Artykuł poniższy jest również rozdziałem pt. „Polscy Oracze na chińskim ugorze”
w książce „I. Posadzy, Przez tajemniczy Wschód. Wrażenia z podróży,
Potulice 1939, s. 144-160.]

Polscy Oracze na chińskim ugorze
(Na Daleki Wschód)

W Shun-Teh. - Prefektura polska. - 133 tys. Komunij św. rocznie. - Naczelnicy. - Ks. dr Szuniewicz. - Jedziemy do Kula. - Zmierzch bogów. - Ks. Stawarski. - Procesja Bożego Ciała.

„Witamy drogich gości z Polski”, oto pierwsze słowa usłyszane w Szun-Te, kiedy pociąg pospieszny Hankon-Pekin zatrzymał się na stacji. Wyciągają się ku nam życzliwe ramiona misjonarskie ks. superiora Witaszka i ks. proprefekta Czapli. Serdeczne rozczulenie z jednej i drugiej^ strony. Nasi gospodarze witają po raz pierwszy od istnienia placówki gości przybyłych z Ojczyzny. My zaś z ciekawością i podziwem stawiamy pierwsze kroki na tych chińskich szańcach misyjnych, zroszonych potem i krwawicą polskich misjonarzy.

Jedziemy rykszami przez miasto, liczące około 100 tysięcy mieszkańców. W mieście tylko 100 katolików, reszta poganie. Prócz misjonarzy nie mieszka tu żaden Europejczyk. Tu i tam głęboki pokłon w stronę naszych gospodarzy. Kłania się kupiec tutejszy, siedzący w kuczki przed ladą, kłaniają się dzieci, uczęszczające do szkoły misyjnej. Jeszcze kilka lat temu rzucano przekleństwa za każdym Europejczykiem.

- Biały diabeł idzie - padało często nawet z ust małych dzieci. Ofiarna praca misjonarzy w kościele, szkole i szpitalach zrobiła swoje. Szen-fu - duchowny ojciec, jak nazywają Chińczycy misjonarza, cieszy się ogólnym poważaniem. Zajeżdżamy do rezydencji misyjnej. Na pierwsze wstępujemy do kościoła. Korzymy się u stóp Jezusa eucharystycznego. Tu oto tryska źródło siły i pokrzepienia dla naszych bohaterów misyjnych. Kościół murowany, ten dziś już stanowczo za mały, by pomieścić i tych, którzy z okolicy na nabożeństwa przychodzą. W kościele nic ma ławek. Chińczycy przynoszą ze sobą poduszeczki, które składają na ceglanej posadzce. Na niej klęczą lub siadają w czasie kazania.

Wchodzimy przez bramę na podwórze wysadzone drzewami. Na bramie obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. W koło mieszczą się skromne pokoje misjonarzy. Następne podwórze przeznaczone jest dla uczniów szkoły misyjnej. Tu też znajdują się klasy, uczelnie i sypialnie internatu. Dalej ciągną się ubożuchne zabudowania gospodarcze.

Prefektem apostolskim jest tu ks. Ignacy Krause, zasłużony organizator tego okręgu misyjnego. Nie zastajemy go w Szun-Te. W tej chwili objeżdża on parafie polskie w Stanach Zjednoczonych, by zebrać nieco grosza dla dalszej rozbudowy swej prefektury. Zadanie bowiem ma przed sobą ogromne. Okręg powierzony jego pieczy misyjnej liczy z górą 1 milion mieszkańców, katolików zaś tylko 17 tysięcy. Pracuje w nim 18 misjonarzy, w tym 5 Chińczyków, 2 braci oraz 12 sióstr szarytek. Okręg podzielony jest na siedem ogromnych parafij, ciągnących się nieraz na przestrzeni 100 kilometrów i więcej. W każdej parafii znajdują się szkoły dla chłopców i dziewcząt, katechumenat, w którym dorośli uczą się katechizmu i przychodnia oczna. Prócz tego 40 katechumenatów dla mężczyzn oraz 26 dla kobiet rozsianych jest po większych wioskach i miasteczkach, w których przygotowuje się 1600 pogan do przyjęcia chrztu św. Przyznać należy, że katolicy [*s. 219*] wypełniają swe obowiązki religijne z prawdziwą gorliwością. Nie mogę się nadziwić, gdy przeglądam statystykę za rok ubiegły. 133 tys. komunij św., to rzecz nadzwyczajna. Dowiaduję się też od naszych gospodarzy o wydarzeniach naprawdę wzruszających.

Tegoż samego dnia mamy okazję zetknięcia się po raz pierwszy z tutejszymi katolikami. Odbywają się właśnie rekolekcje zamknięte dla naczelników gmin. W każdej miejscowości, w której znajduje się pewna ilość wiernych, misjonarz naznacza pośród nich naczelnika. Dba on o dobrego ducha w gminie, przewodniczy wspólnym modlitwom, załatwia sprawy mniejszej wagi.

Naczelnicy wychodzą właśnie z kościoła po skończonej nauce. Jest ich kilkudziesięciu. Przybyli na rekolekcje pieszo z odległych nieraz stron. Wszyscy w sile wieku. Ubrani są w długie modre kaftany. Kolor skóry żółtawy. Głowa okrągła, kości w policzkach wystające. Siodełko nosa zapadłe Włosy czarne jak heban. Na twarzach maluje się skupienie. Skośne ich oczy rzucają błyski, błyski gotowości do ofiary i poświęcenia dla sprawy Bożej.

- Ngo jutai siampa Tohędżu!

- Ja chcę poznać Boga, oto piękne postanowienie apostolskie, które z nich każdy powtarza co chwilę w te święte dni odosobnienia.

Trwają jeszcze chińskie święta noworoczne. Więc szepczą ks. superiorowi, że pragnęliby nam złożyć życzenia. Siadamy więc tutejszym zwyczajem przed nimi. Oni zaś ustawiają się w rzędy. Potem kłaniają się nam trzykrotnie, powtarzając rytmicznie:

i cu kung - pierwszy pokłon

el cu kung - drugi pokłon

sen cu kung - trzeci pokłon.

Następnie klękają i proszą o błogosławieństwo. Wypytują się nas za pomocą ks. Czapli, co słychać w świecie i czy w Polankło - Polsce jest również pięknie jak w Chinach. Kiwają głową z niedowierzaniem, że przyjechaliśmy tutaj tylko na cztery dni. - Zostańcie z nami, prosimy was, zostańcie...

Zostalibyśmy, kochani naczelnicy, lecz obowiązek woła. A wolę Bożą każdy spełnić musi na wyznaczonym sobie posterunku.

Wieczorem spotykamy się z ks. dr Szuniewiczem. Wraca właśnie z szpitala po kilku dokonanych operacjach. Widać wielkie zmęczenie na jego wybiedzonej twarzy. Jego praca przekracza przecież ludzkie siły. Misjonarskim zwyczajem od godz. 4-tej na nogach. Po Mszy św. w szpitalu przez cały dzień do późnego wieczora. Kilka operacyj dziennie. Częste wyjazdy do okolicznych miasteczek, w których pozakładał bezpłatne przychodnie oczne. Każde jego przybycie witają wszyscy a zwłaszcza chorzy z niekłamaną radością. Ktoś z zarządu miasteczka zdobywa się nawet na drukowany plakat, rozwieszony na rogach ulic:

- Szen - Fu - Ta - Żen...

Duchowny ojciec, wielki człowiek, przyjeżdża leczyć oczy... A czyż może równocześnie i dusze? Nawrócenia zdarzają się właśnie najczęściej na widok niestrudzonej pracy i to bezinteresownej ks. Szuniewicza i jego towarzyszy misjonarzy. Szpital i przychodnia to najlepsza propaganda wiary św.

Patrzałem na te dziesiątki ludzi, tłoczących się do bezpłatnej przychodni na przedmieściu Nę-Kło. Byli tam mężczyźni z ropiejącymi wrzodami, matki z chorymi dziećmi, żołnierze z garnizonu szuntehskiego, darzący ks. Szuniewicza większym zaufaniem niż pułkowych lekarzy. Któryś z chrześcijan wykrada z poczekalni katechizm, wskazuje na obrazy propagandowe rozwieszone na ścianie. Po uzdrowieniu ciała często następuje uzdrowienie duszy. I spełniają się tu słowa Zbawiciela: Ślepi widzą, głusi słyszą, trędowaci bywają oczyszczeni...

- Księże doktorze, ksiądz dziś ledwie mówi, trzeba jutro nieco dłużej pospać - odzywa się zatroskany ks. superior.

- To nic, trzeba pracować, póki jeszcze dzień...

Nazajutrz rano wybieramy się z ks. Czaplą w głąb prefektury do Kula. Mamy przed sobą 70 km drogi chińskiej. Na szczęście kursuje tu od 1 stycznia autobus. Wyjeżdżamy za miasto przez bramę północną. Trzeba bowiem zaznaczyć, że Szun - Te, jak zresztą wszystkie miasta i miasteczka, jest opasany wysokim murem z cegły lub gliny. Przy bramach miejskich strażuje zwykle straż wojskowa lub policyjna, która kontroluje wszystkich przechodniów. Wieczorem bramy się zamykają i wówczas już ustaje wszelki ruch. Jest to konieczne ze względu na częste rewolucje i zamieszki wojenne.

Dwaj żołnierze z najeżonymi bagnetami zatrzymują nas przy bramie. Popatrzywszy spode łba na pasażerów, pozwalają jechać dalej. Wieje silny wiatr. Z pustyni Gobi lecą ku nam istne chmury miałkiego piasku. Niebo aż siwawe od zawiei. Na drodze tworzą się zaspy piaszczyste. W oczach, ustach, uszach wszędzie pełno piasku.

Mówi mi ks. Czapla, że właśnie te wiatry są największym utrapieniem misjonarzy. Nasz autobus staje po kilka razy. Motor nie może dać rady. Pada komenda szofera: wszyscy wysiadać! Brniemy w miałkim piasku, póki nie [*s. 220*] trafimy na twardy grunt. Przejeżdżamy przez liczne wioski. Warczenie motoru zwabia ludzi. Wylatują z domów i przypatrują się nam ciekawie. Dzieciaki, ubrane w grubo watowane kaftaniki i długie spodnie, czepiają się autobusu. Zlatują co chwilę. Z śmiechem padają w sypki piasek.

Wszystkie te wioski jeszcze pogańskie. Liczne pagody - świątynie świecą pustkami. Na próżno odzywają się gongi, grzechotki, cymbały, zwołujące ludzi na modlitwę. Widzimy poganina składającego bożkom trochę ryżu i prosa w ofierze. Tu i tam w żelaznych wazonach, ustawionych przed bóstwem, tkwią tlejące patyczki kadzidła chińskiego. Lecz są to wyjątki.

Objaśnia mnie mój towarzysz, że wioski te można by łatwo nawrócić. Ludzie sami nieraz przychodzą i proszą o katechistę, któryby ich pouczył o prawdach wiary św. Niestety często odmówić im trzeba dla braku funduszów na opłacenie katechisty. I tak dusze giną) Łakną chleba żywota, a nie ma, kto by im go podał.

Zajeżdżamy wreszcie do Kulu. Wita nas ks. Stawarski, kierownik stacji misyjnej wraz z swym młodziutkim wikarym ks. Czerwińskim. Wieża kościelna panuje nad miasteczkiem. Schludne zabudowania misyjne odbijają korzystnie od niskich, brudnych domków, a nawet od glinianych gmachów miejskich.

Serdeczne przyjęcie w rezydencji misyjnej. Kucharz Chińczyk, chcąc uczcić gościa z Polski, przygotował smaczną trawę morską w olejku sezamowym, młode pędy bambusowe i smażone kwiaty lilii. Znalazło się oczywiście i mło-mło, chleb z prosa, gotowany na parze.

Po posiłku oglądamy to wszystko, co tu powstało w stosunkowo krótkim czasie. Nowy kościół murowany, większy nawet od szunteskiego. Uderzają mię kawały jedwabiu, zwieszające się po bokach ołtarzy z napisami religijnymi w języku chińskim. Szkoła przygotowawcza dla katechistów wraz z internatem jest jedyną w całej prefekturze. Jest i szpitalik i przychodnia. Jest i przytułek, w którym chińskie babunie pędzą szczęśliwy żywot. Kochane babunie wyglądają nieco komicznie w swych długich watowanych spodniach. One również składają nam życzenia noworoczne. Kołyszą się rytmicznie w czasie pokłonów a potem proszą o błogosławieństwo.

Nie mogę się napatrzyć wierceniu studni artezyjskiej blisko rezydencji. Długie pręty bambusowe spojone żelazną obręczą a zakończone stalowym rylcem, oto narzędzie wiertnicze chińskich studniarzy. Rylec, wpychany siłą ludzką w ziemię, pogrąża się coraz głębiej. W tej chwili osiągnięto już 130 m głębokości, lecz wody jeszcze nie widać.

Wieczorem ks. Stawarski opowiada o swych przygodach misyjnych. Walną przeszkodą to odległości i drogi chińskie, o których Europejczyk nawet pojęcia mieć nie może. Wołają nagle do chorego. Odległość 60 km. Misjonarz jedzie rowerem. Schodzi często, bo ujechać nie podobno. Wyprawa taka trwa nieraz trzy dni. A stamtąd już znowu wołają...

Z miejscowym mandarynem ks. Stawarski żyje w najlepszej zgodzie. Odwiedzają się wzajemnie. Dnia 10 października z okazji chińskiego święta narodowego odbierali obaj nawet wojskową paradę.

Nazajutrz jest niedziela. Odprawiam sumę a ks. Czerwiński głosi kazanie. Przeszło 100 osób przystępuje do komunii św. Po nabożeństwie ludzie nie rozchodzą się do domów. Czekają na czczo koło kościoła. O godzinie 11 odprawiają sobie sami drugie nabożeństwo. Odmawiają śpiewnie różaniec i to na dwa chóry. Polem powtarzają sobie 100 pytań katechizmu.

Nie mam słów podziwu dla gorliwości tutejszych chrześcijan. Zasługa to również ks. Stawarskiego. Szaleniec to Boży, który dla dusz nieśmiertelnych gotów wszystko poświęcić, wszystko aż do wyczerpania wszystkich zasobów życia.

Wracamy do Szun-Te. Jeszcze kilka mniejszych wypraw do Nei-Riu i w okolicę miasta.

Przyjeżdżają misjonarze nasi z placówek, bo chcą się z nami zobaczyć. Przyjeżdża również ks. Cymbrowski, kierownik szkoły misyjnej, pochodzący z Poznania. Jest on również wielkim przyjacielem żołnierzy. Znają go tu wszyscy. Gdy przechodzi, to mu salutują.

Jemu też się zawdzięcza, że w ostatniej procesji Bożego Ciała brało udział również i pogańskie wojsko chińskie. Przy ołtarzach żołnierze grali hejnały. I szła ta procesja poprzez uliczki miasta, przybrane w chorągwie i girlandy. Lud śpiewał chińską pieśń eucharystyczną na melodię: „Twoja cześć chwała". Dzwony dzwoniły; pieśń, nabrzmiała siłą uczucia, drgała coraz mocniej i leciała w gorący otok niebieski. Ludzie wpatrzeni w Hostię świętą wołali:

- Jesu Szen Si-cul kuo lui kao u Czankao...

- Najświętsze Serce Jezusa, niech królestwo Twoje zstąpi do Chin!

Dusze pogańskie w Chinach dojrzały do żniwa! Prefektura polska w Szun-Te potrzebuje kilkuset księży, kilka tysięcy katechistów, ofiar pieniężnych i dużo, dużo modlitwy...

Pomóżmy polskim oraczom na chińskim ugorze!

Ks. Posadzy. [s. 221]